

-

Bolesław Prus
Pleśń światła

Pleśń świata

Zdarzyło mi się być w Puławach z pewnym botanikiem. Siadaliśmy przy Sybilli na ławce, pod olbrzymim kamieniem porośłym mchami czy pleśnią, które od kilku lat badał mój uczony towarzysz.

Zapytałem: co ciekawego znajduje w przyglądaniu się nieregularnym plamom szarym, popielatym, zielonym, żółtym lub rudym?

Popatrzył na mnie z nieufnością, lecz przekonawszy się, że ma przed sobą profana, począł objaśniać:

- Te plamy, które pan widzisz, nie są wcale martwym brudem, lecz - zbiorem istot żyjących. Niewidzialne dla gołego oka, rodzą się one, wykonywają ruchy, których nie możemy dostrzec, zawierają związki małżeńskie, wydają potomstwo i wreszcie giną.

Co godniejsza uwagi, tworzą one jakby społeczeństwa, które tu widzisz w postaci różnobarwnych plam - uprawiają pod sobą grunta dla następnych pokoleń -

rozrastają się, kolonizują nie zajęte miejscowości, nawet toczą między sobą walki.

Ta popielata plama, duża jak dłoń, była przed dwoma laty nie większa od czterogroszniaka. To malutkie siwe piętno przed rokiem nie istniało i pochodzi od tej wielkiej plamy, która zajmuje szczyt kamienia.

Te znowu dwie: żółta i ruda, walczą ze sobą. .Niegdyś żółta była bardzo rozległą, lecz powoli sąsiadka wyparła ją i zajęła jej miejsce. A spojrzysz na zieloną - jak siwa sąsiadka zapuszcza w nią zagony, ile na zielonym tle

widać szarych pasków, punktów, kęp?...

- To coś jak między ludźmi - wtrąciłem.

- No, nie - odparł botanik. - Społeczeństwu tym brakuje języka, sztuk, nauk, świadomości, uczuć; słowem - brakuje im dusz i serc, które my, ludzie, posiadamy. Wszystko się tu dzieje na oślep, mechanicznie, bez sympatyj i antypatyj.

W kilka lat później znalazłem się obok tego samego kamienia w nocy i przy świetle księżyca przypatrywałem się zmianom, jakie zaszły w formach i rozmiarach różnych pleśni.

Wtem ktoś mnie trącił. Był to mój botanik. Prosiłem go, ażeby usiadł; ale on stanął przede mną w ten sposób, że zasłonił księżyc, i coś szepnął bezdźwięcznym głosem.

Sybilla, ławka i kamień znikły. Uczułem dokoła siebie mdłą jasność i niezmierną pustkę. Gdym zaś odwrócił głowę na bok, ujrzałem niby szkolny globus błyszczący słabym światłem, tak wielki jak ów kamień, obok którego byliśmy przed chwilą.

Globus z wolna obracał się ukazując coraz to nowe okolice. Oto ląd azjatycki z małym półwyspem Europą; oto Afryka, obie Ameryki...

Wpatrzywszy się lepiej, dostrzegłem na zamieszkałych lądach takie same plamy, szare, siwe, zielone, żółte i rude, jak na kamieniu. Składały się one z mnóstwa nikłych punkcików, na pozór nieruchomych, w istocie ruszających się bardzo leniwie: pojedynczy punkt posuwał się co najwyżej o dwuminutowy łuk w ciągu godziny, i to nie w linii prostej, lecz jakby wahając się około właściwego sobie środka ruchu.

Punkty łączyły się, rozdzielały, ginęły, występowały na powierzchnię globu; lecz wszystkie te zjawiska nie zasługiwały na szczególną uwagę. Poważny

charakter miały dopiero ruchy całych plam, które zmniejszały się lub rosły, ukazywały się na nowych miejscach, przesiąkały się nawzajem lub wypierały z zajmowanych stanowisk.

Głob tymczasem wciąż krążył i zdawało mi się, że wykonał setki tysięcy obrotów.

- Czy to ma być historia ludzkości? - spytałem stojącego przy mnie botanika.

Skinął głową na znak potwierdzenia.

- Dobrze - ale gdzie są sztuki, wiedza?...

Uśmiechnął się smutnie.

- Gdzie świadomość, miłość, nienawiść, pragnienia?..

- Cha! cha! cha!... - śmiał się cicho.

- Słowem - gdzie tu są ludzkie dusze i serca?...

- Cha! cha! cha!

Zachowanie się jego oburzyło mnie.

- Kto ty jesteś?... - zapytałem.

W tej chwili znalazłem się na powrót w ogrodzie obok kamienia, którego niekształtne plamy kąpały się w blaskach księżyca.

Towarzysz mój znikł, alem go już poznał po szyderstwie i melancholii.